

Słowo wstępne

Leży przede mną paczka listów ojca pisanych z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W sumie dwadzieścia pięć. Niewiele. Przychodziły w określonych regulaminem odstępach czasu, między styczniem 1941 a marcem 1942 roku. Każdy składa się z czterech poliniowanych stron. Na pierwszej – wydrukowano rygory dotyczące korespondencji podpisane przez *Der Lagerkommendant*a oraz dane personalne więźnia. Z wyjątkiem dwu kartek pocztowych, wszystkie listy wyglądają tak samo i z pozoru niewiele różnią się w treści. Ale to tylko pozory, rozmyślnie stwarzane i skrzętnie przestrzegane dla zmylenia cenzury. Po latach szyfr stosowany przez rodziców nawet dla mnie nie jest całkiem jasny. Za to dramat tej korespondencji dopiero teraz mogę w pełni odczytać i połączyć z przeżyciami kilkuletniej dziewczynki, która była świadkiem i uczestniczką rodzinnego dramatu.

Z listami przez wiele lat nie rozstawała się matka. Później przeszły w ręce Leszka, mego starszego brata, a gdy i jego zabrakło, trafiły do mnie. Zawsze mówiło się, że trzeba z nimi coś zrobić. W końcu zdecydowałam się podjąć wyzwanie, aby wojenną historię naszej rodziny przekazać następnym pokoleniom.

Sprawa wydawała się prosta. Listy trzeba przetłumaczyć z języka niemieckiego i zapisać w komputerze. Może jeszcze dodać kilka słów wyjaśnienia o okolicznościach, w jakich ojciec trafił do KL Auschwitz i jak się z niego wydostał. Przy bliższym wglądzie w ich treść okazało się, że lektura samych listów może być całkowicie jałowa i niezrozumiała. Sam ojciec kiedyś ostrzegał, że tylko wytrawny historyk mógłby doczytać się jakiejś prawdy w zaszyfrowanych treściach jego listów. Nawet tłumacz, z którym pracowałam nad przekładem, znudzony monotonią powtarzających się zdań na temat niezmiennie dobrego samopoczucia i zmiennej pogody, rzucił mi pewnego razu: „Nic rewelacyjnego, prawda?”

Wprost przeciwnie, dla mnie odczytywanie tych listów było niezwykle ciekawe i budziło wspomnienia, o których nie myślałam, że są jeszcze tak ważne. Jego uwaga uświadomiła mi jednak potrzebę szerszego komentarza. Sporządziłam go na podstawie zachowanych

dokumentów, własnych wspomnień oraz zapisków matki i dołączyłam tu jako komentarz do listów z Oświęcimia.

Pamiętam, że kiedy przychodził wyczekiwany list, tropieniem zaszyfrowanych w nim wiadomości zajmował się cały sztab ludzi. Najpierw trzeba go było odczytać i przetłumaczyć. W korespondencji obowiązywał ścisły regulamin dotyczący zarówno treści, jak i formy listów. Korespondencja musiała być prowadzona w języku niemieckim. W tym wypadku przydatnym okazywał się inny wymóg władz obozowych, by listy pisane były wyraźnie i atramentem. Zabronione było prawie wszystko, a zwłaszcza przekazywanie jakichkolwiek informacji na temat obozu, sytuacji więźnia, oskarżeń, kar, prześladowań, pracy, głodu, cierpień – tego właśnie, o czym chciałaby wiedzieć żona otrzymująca z Oświęcimia list od męża. Z tych powodów sama lektura listów nie oddaje dramatu, który kryje się wśród błahych zdań o pogodzie, zapewnień o dobrym samopoczuciu i pracy, która „odpowiada możliwościom”. Ojciec należał do pokolenia, które ze szkoły średniej wychodziło ze znajomością pięciu języków obcych. Jako naukowiec posługiwał się niemieckim w pracy, a ponadto spędził rok w Wiedniu jako stypendysta Fundacji Rockefellera. Ale i jemu musiało sprawiać trudność używanie obcego bądź co bądź języka ezopowym sposobem. Matka na gwałt uczyła się niemieckiego, pomagali jej przyjaciele. Ważną sprawą było wypracowanie szyfru, który pozwoliłby przekazywać informacje o prawdziwej sytuacji ojca i rodziny oraz staraniach o jego zwolnienie. Już w pierwszych listach pojawił się Henryk (drugie imię ojca), o którego zdrowie i pracę troszczył się korespondenci. Dzięki temu ojciec mógł nawet sugerować, do kogo matka powinna się zwracać o pomoc „dla Henryka”, jak tłumaczyć obecność docenta Uniwersytetu Warszawskiego na lubelskiej wsi jesienią 1940 roku, oraz jakie zaświadczenia o czekającej go tam pracy powinna przedstawić władzom. Były i inne sposoby przemykania wiadomości. Rzucona półżartem informacja (list VII z maja 1941 r.): „Jestem zdrow i czuję się dobrze, co również dobrym apetytem się przejawia”, sygnalizowała głód. Wyraży zaniepokojenia z powodu błahej operacji syna pozwoliły przemyścić wiadomość, że jednak Henryk bardzo cierpiał, gdy bez znieczulenia operowano mu prawą rękę. Wśród żartów na temat małej Krysi w okularach można było przemyścić nękające go pytanie: „Czy myślisz, że Henio szybko wyzdrowieje i przyjedzie do domu?”.

Mimo pomysłowości i ostrożności rodziców wiele listów zostało okrojonych przez obozową cenzurę. W kilku przypadkach wycięto duże fragmenty, kiedy indziej wymazano części zdań lub całe paragrafy. Cenzor był uważny, a swoją czujność stwierdzał podpisem i pieczęcią przykładaną na koniec każdego listu. Mimo jego skrupulatności matka potrafiła przekazywać ojcu wiadomości o rezultatach jej zabiegów o zwolnienie go z Oświęcimia, co miało duży wpływ na morale więźnia, który – mimo determinacji – tracił siły i chorował. Z biegiem czasu listy były coraz krótsze, a pytania o sprawę Henryka coraz bardziej natarczywe. Świadczyło to o wyczerpaniu i gwałtownej potrzebie ratunku.

I ten ratunek na szczęście nadszedł. Wiele razy w życiu odpowiadałam na pytanie, jak mój ojciec wy dostał się z Oświęcimia. O determinacji matki, która walczyła bohatersko o uratowanie męża, świadczy zachowana dokumentacja jej zabiegów o zwolnienie. O szczęśliwym ich rezultacie zdecydował splot wydarzeń, na początku których była rodzinna tragedia w 1928, a na końcu szczęśliwe zwolnienie ojca z Oświęcimia w maju 1942 roku.

Krystyna Serejska Olszer